Kolekcja Emila Korusia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu CZYTELNIA

Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Nr. 77 LWÓW 19 MARCA 1931 Rok VIII

PANTEON POLSKI

Poświęcony Kronice Walk o Niepodległość, Bohaterstwu Żołnierza Polskiego i Pamięci Poległych o Wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

PKO. Warszawa 152.930. – – Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 1 ZŁ.

Zbliża się dzień

Zbliża się dzień imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego. Jak zawsze — składane będą hołdy wielkiemu Wodzowi Narodu. Wśród tych objawów hołdu i czci — Lwów zajmuje zawsze stanowisko — godne swojej wielkiej roli dziejowej na kresach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej, — roli, która dała mu zaszczytny przydomek „Semper fidelis".

A Lwów naprawdę jest związany dosyć ściśle z osobą Marszałka Piłsudskiego. Wszak tutaj Komendant Piłsudski tworzył swoje Związki Strzeleckie, — tutaj tworzył pierwsze kadry, pierwsze zawiązki wojska polskiego. I iluż żołnierzy wyszło stąd, ze Lwowa? — Iluż strzelców „jak stal wiernych" poszło na zew Komendanta?

A w czasach późniejszych, w czasie obrony Lwowa, ileż dowodów zainteresowania losami Lwowa dał Naszelny Wódz?

Jak wiadomo — Piłsudski, uwolniony z Magdeburga, przybył do Warszawy dnia 10 listopada 1918 r., a w nocy z 11-go na 12-go listopada objął naczelną władzę nad wojskiem. Dnia 12 listopada bawił w Warszawie śp. por. Stec, lotnik, wysłany ze Lwowa do Krakowa i Warszawy. Naczelny Wódz przyjął go i dał obietnicę odsieczy — i tego samego dnia, tj. 12 listopada 1918 r. wysłał rozkaz do generała Roji w Krakowie, — rozkaz, w którym poleca mu przerwać kampanję na Spiżu — i użyć zaoszczędzonych sił „do wzmocnienia ekspedycji wschodnio-galicyjskiej".

„Naczelnik Państwa Józef Piłsudski odbiera defiladę we Lwowie w 1921 r. po dekoracji miasta orderem „Virtuti Militari"

Dnia 16 listopada 1918 r. jest drugi rozkaz Piłsudskiego w sprawie obrony Lwowa:

„Generała Bolesława Roję przeznaczam na objęcie dowództwa nad następującemi oddziałami: 4. 5 p. p., 8 pp., 57 p. uł., ciężkie baterje formowane w Krakowie. Dowództwo wojskowe w Krakowie ma nadmienione oddziały najrychlej przetransportować koleją do Przemyśla, celem przygotowania odsieczy Lwowa".

Dnia 19 listopada wyszedł rozkaz Naczelnego Wodza, koordynujący operacyjne działanie odsieczy pod jednolitem dowództwem generała Rozwadowskiego.

Przytaczamy te rozkazy na dowód, że Naczelny Wódz od pierwszego dnia dowodzenia kieruje odsieczą Lwowa. Odsiecz pod dowództwem płk. Tokarzewskiego przybywa do Lwowa 20 listopada 1918 r. — wieczorem, — a w dwa dni potem Lwów był wolny.

I w czasie późniejszych walk Naczelny Wódz pamiętał o Lwowie i o Małopolsce Wschodniej.

Przytoczymy tu jeden szczegół, bardzo mało znany. W maju 1919 roku przybywa do Polski — drogą lądową przez Niemcy — sześć doskonale zorganizowanych i w nowoczesny sprzęt wojenny zaopatrzonych dywizij armji generała Hallera. Marszałek Piłsudski skierował je niezwłocznie — pomimo sprzeciwu Prezydenta Wilsona i Lloyd George'a, — na zagrożony poważnie odcinek frontu Małopolski Wschodniej — i w ten sposób przechylił stanowczo szalę zwycięstwa na stronę polską.

W czasie najazdu bolszewickiego w lecie 1920, Marszałek Piłsudski polecił gen. Iwaszkiewiczowi jako dowdcy VI armji — bronić za wszelką cenę Lwowa i Zagłębia naftowego.

Z tego krótkiego zestawienia widzimy, jak wielkie zasługi posiada Marszałek Piłsudski dla Lwowa i dla Małopolski Wschodniej.

Dodajmy do tego, że Marszałek Józef Piłsudski jako Naczelny Wódz przyozdobił własnoręcznie herb miasta Lwowa — orderem Virtuti Militari.

Za te wszystkie wielkie zasługi miasto Lwów powinno odwdzięczyć się Marszałkowi Piłsudskiemu — i powinno nadać Mu najwyższą godność, jaką posiada, — a godnością tą jest GODNOŚĆ OBYWATELA HONOROWEGO MIASTA LWOWA.

Dr. Jan Rogowski.

Marszałek Foch obok Marszałka Piłsudskiego w rozmowie z gen. Sosnkowskim w Warszawie 1923

* * *

Na wybrzeżu mórz dalekich, cały w srebrnej zbroi,
Jak skrzydlaty anioł boży, rycerz świtu stoi:
Noc niewoli odpłynęła na wodne odmęty,
Kto żył, widział, jak bohater ciął w mrok miecz swój święty. —
Jeszcze chodzą burz ostatki po nieba obwodzie.
Jeszcze piorun złotym rogiem cielsko chmury bodzie,
Jeszcze kruki kraczą zbite, w krzyż lecąc przez słońce.
Jeszcze nie dość świat ukochał zbawcę i obrońcę.
Nieraz błyśnie mu o stopy fala zbulgotana,
Nieraz żmija, pełząc, łeb mu wzniesie do kolana,
On nie zadrży; słońce Prawdy skroś chmur mu przeziera,
Jasność jutra, utęsknienie duszy bohatera.

Garnie się doń tłum rybaczy, pracowna gromada,
Kiedy sieci, słońcem srebrne, u brzegu zakłada.
Gdy na połów wieczór płynie, kłania mu się pięknie,
Czasem prosić błogosławieństw który kornie klęknie.
Dań ubogich serc mu dają, niby ojcu dzieci,
Za ten jego wzrok świetlany, co ich wiódł z zamieci.
Kiedy burza żagiel łodzi gniewliwie wydyma,
Patrzą wszyscy na rycerza ufności oczyma,
Jego wzrok ucisza fale, niebo się wygładza,
Nad żywiołem i sercami równa jego władza. —
Oto idzie blade dziecię, rybacka chudzina,
Maca szablę, główkę tuli do rąk gospodzina,
Oczki wznosi nań miłośnie, do stóp mu przyparte,
Witeż złoty i dziecina brzegom czynią wartę.

Julja Dicksteinówna (1925).

Komendant we Lwowie w 1916 r.

(Wspomnienie)

Na wieść o zamierzonym przyjeździe Komendanta do Lwowa na odpoczynek, austrjacka komenda poczyniła wszelkie kroki ostrożności, by nie dopuścić do jakiejkolwiek manifestacji; z pobliskiego obozu ćwiczebnego sprowadzono większą ilość wojska i to piechoty, karabinów maszynowych, a nawet artylerji, pozatem wydano rozkaz Dyrekcji policji, zakazujący wszelkich demonstracji, które miano, jak opiewał nakaz „strengs unterdrücken". Wezwano czynniki, pracujące w N. K. N-ie, którym powtórzono te zakazy, tłumacząc się, że takie zarządzenie nadeszło z Wiednia. Zarazem złożono na nich całą odpowiedzialność za ewentualne skutki.

Komendant Piłsudski przybył do Lwowa 3-go marca 1916 wprost z frontu i zamieszkał w hotelu George'a, gdzie przyjął delegację N. K. N-u, która serdecznie go powitała. W swobodnej rozmowie z delegatami mówił Komendant o bohaterskich walkach Legjonów, w ostatnich czasach na Polesiu, o trudnościach terenu, o zmianie w Komendzie Legjonów, o stratach w czasie walk, wyliczając wybitnych oficerów, interesował się działalnością legjonowych organizacji we Lwowie — i wypytywał o lokal Związku Strzeleckiego przed 1914 r.

Dnia 4 marca 1916 r. złożył wizytę komendantowi miasta generałowi Rimmlowi. Następnie wyjechał do Snopkowa, gdzie przebywał u pp. Domaszewiczów, w dworku „Lauda".

Oficjalnie przybył z powrotem do Lwowa dn. 17 marca 1916 r. i zwiedził Stację zborną Legjonistów, lokal Delegacji N. K. N., Schronisko superarbitrowanych Legjonistów i Ochronkę dla dzieci po Legjonistach.

W czasie przyjęcia w Delegaturze N. K. N., gdzie przywitał Go śp. poseł dr. Lisiewicz, odpowiedział Komendant, że wzrusza Go przyjęcie, jakie spotyka we Lwowie, gdzie myśl polska nie zmarniała i nie stchórzyła pod ciężarem losu. Ze Lwowem łączą Go najlepsze wspomnienia, Lwów najbardziej przyczynił się do rozwoju idei Legjonowej. We Lwowie po ciężkich przejściach mógł zawsze odpocząć i myśleć o Polsce. Lwów dał Mu najlepsze siły, najlepsze siły wyszły ze szkoły lwowskiej. „Gdy spojrzymy po szeregach — mówił Komendant, — znajdziemy tam najdzielniejsze jednostki, najlepsi moi ludzie to Lwowiacy, na każdym kroku spotyka ich uznanie i poważanie. Tak jak Kielce, pierwsze większe miasto Polski, przyjęło nas serdecznie i nawiązało z nami nici serdeczności, tak i ze Lwowem łączą nas serdeczne nici. Gdy Lwów został oswobodzony, wielkie święto było w mojej Brygadzie. W imieniu własnem i żołnierzy, którym przywodzę, dziękuję wam za to, żeście nie zapomnieli o skromnym żołnierzu, który spełnia swoje obowiązki żołnierskie".

W Schronisku dla superarbitrowanych Legjonistów rozmawiał Komendant z żołnierzami, również w Ochronce dla dzieci Legjon. rozmawiał z dziećmi i wzruszony był przyjęciem przez te dzieci.

17 marca wieczorem teatr lwowski wystawił „Halkę" przy udziale najwybitniejszych sił z artystką operową Korolewicz-Waydową na czele. Policja z rozkazu wojska zakazała wszelkich manifestacji w teatrze, gdzie kilkudziesięciu posterunkowych pełniło służbę. Loża, w której Komendant siedział, była obsypana kwiatami, a w chwili, gdy się okazał, teatr przepełniony publicznością do ostatniego miejsca, manifestacyjnie przywitał Go. Nie chcąc narazić się na jakiekolwiek przykrości ze strony władz austrjackich, delegacja N. K. N. w obawie większej demonstracji przed teatrem, rozrzucała w teatrze małe ulotki tej treści: „Na życzenie brygadjera Piłsudskiego i wobec jego stanu zdrowia uprasza się o zaniechanie wszelkich głośnych manifestacyj. We Lwowie, dnia 17-go marca 1916", a równocześnie uprosiła Komendanta, by na kilka minut przed ukończeniem opery wyszedł, co też Komendant uczynił.

Tak zatem — wprawdzie cichą, ale tłumną i pełną serdeczności i entuzjazmu manifestacją uczcił wtedy — polski Lwów — ówczesnego Wodza Legjonów i przyszłego Naczelnego Wodza Wojsk Polskich.

Pisma lwowskie, jak „Kurjer Lwowski" i „Wiek Nowy" były kilkakrotnie skonfiskowane za artykuły o Komendancie.

W tych pismach ukazała się po wyjeździe Komendanta ze Lwowa, następująca notatka: „Wszystkim, którzy tuż po moim przyjeździe do Lwowa odwiedzili mnie, a których z powodu choroby przyjąć nie mogłem, w niemożności osobistego odwzajemnienia się, tą drogą dziękuję serdecznie za pamięć. Józef Piłsudski".

Wspomnienie to z czasów nie tak dawnych — zająć musi godne miejsce w historji Lwowa — tak ściśle związanego z życiem i działalnością Komendanta.

Z. Zygmuntowicz.

BOLESŁAW BOLEK-SZPUNAR

(Komendant Związku Strzeleckiego w Wieliczce i podporucznik V Bataljonu I Brygady

Wieliczka, powiatowe miasto, oddalone o 14 kilometrów na południowy wschód od Krakowa, liczyło przed wojną około 7.500 mieszkańców.

Nie posiadało czystych cech małych miast małopolskich, a to ze względu na bliskość i łatwość komunikacji z Krakowem, co ułatwiało inteligencji ocieranie się o życie kulturalne i towarzyskie wielkiego miasta, sferom mieszczańskim i rzemieślniczym utrzymanie kontaktu handlowego ze stolicą zachodniej Małopolski, co łączyło się z nabywaniem przez nie znamion właściwych ludności przedmieść wielkomiejskich. Wpływ Krakowa oddziaływał również na ludność górniczą, a zwłaszcza robotniczą, która z uwagi na zapotrzebowanie rąk do pracy w kopalni soli i licznych warsztatach dla celów kopalnianych służących, stanowiła bardzo poważny procent mieszkańców miasta i nadawała mu charakter przemysłowy. Ponadto Wieliczka nie była pozbawioną młodzieży uniwersyteckiej i szkół średnich, bo ta korzystając z bliskości, dojeżdżała na studja do Krakowa.

Uczniowie gimnazjalni, nie mogąc w całej pełni korzystać z urządzeń krakowskich, zakładają w latach 1906—7 „Organizację Młodzieży Szkół Średnich w Wieliczce" dla kształcenia umysłowego i fizycznego członków, kultywowania ducha narodowego i przygotowywania ich do przyszłej pracy społecznej.

W tym mniejwięcej czasie zjeżdża na stałe do Wieliczki rodzina Szpunarów.

Szpunar, maszynista kolejowy, doznawszy w czasie katastrofy kolejowej wstrząsu mózgowego, został przeniesiony w stan spoczynku, — niebawem jednak wrócił do normalnego stanu i oddał się pracy w P. P. S.

Miał czterech synów, z których najstarszym był Bolesław, podówczas, tj. w roku 1907, uczeń V klasy gimnazjalnej.

Po przyjeździe do Wieliczki, Szpunar Bolesław wstępuje do organizacji Młodzieży Szkół Średnich i bierze udział w jej pracach. Był to młodzieniec wzrostu średniego, dobrze zbudowany, ciemny blondyn, o wysokim czole, siwych oczach i orlim, napoleońskim nosie. Nosił się, ze względu na ciężkie warunki materjalne i cechy charakteru, skromnie, ale czysto i schludnie.

Początkowo niczem szczególnem nie zwracał na siebie uwagi, niebawem jednak zasłynął wśród młodzieży jako najlepszy matematyk i udzielając bezinteresownie pomocy słabszym uczniom w tej dziedzinie, zyskuje sobie miano dobrego kolegi. Najtrudniejsze zadania matematyczne rozwiązywał z łatwością i to często w pociągu lub w poczekalniach, wśród gwaru i stuku, mając kolosalną umiejętność skupiania umysłu i panowania nad sobą.

Szpunar Bolesław zawsze był zdolny do pracy, a pracował dużo. Już w gimnazjum bierze cały szereg lekcji, by tym sposobem przyjść z pomocą rodzinie, kolegom oddaje usługi w sposób prosty, naturalny, bez żadnego nacisku ze strony potrzebującego, nie spóźniając się, ani nie zawodząc. Słowność jego staje się niemal przysłowiową. Nigdy nie spotkałem się z zarzutem, że Szpunar czegoś nie dotrzymał.

Gruntowną pracą nad sobą pogłębia umysł i po zdaniu w 1910 roku matury, rozpoczyna studja na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego. Niezależnie od tego przyjmuje posadę u adwokata w Wieliczce, oraz wstępuje do P. P. S. i niebawem, bo w roku 1912, staje na jej czele. Zważywszy, że Szpunar Bolesław miał podówczas 20 lat, a PPS. była liczna, bo Wieliczka miała ponad 1000 górników i robotników i zapewne cały szereg osób próbował ująć ster partji w swoje ręce, musi nas uderzyć młodzieńczy wiek jej kierownika, który daje się wytłumaczyć niezwykłemi cechami charakteru Bolesława Szpunara. Przedewszystkiem był to człowiek nawskróś ideowy, pracował tylko dla dobra ogółu, dla siebie nic nie pragnąc, ani też nic nie potrzebując, a praca jego miała cechy ruchu jednostajnie przyśpieszonego, zaczynał powoli, głęboko wnikając w istotę sprawy i badając ją wszechstronnie, a gdy już nabrał właściwego pojęcia, szedł wytrwale, nic-

Oddział Związku Strzeleckiego w Wieliczce. Zbiórka na ćwiczenia przed lokalem Związku w roku 1913. Pierwszy od lewej Bolesław Bolek Szpunar

przerwanie w wytkniętym kierunku i rezultat po upływie pewnego czasu był imponujący. Pozbawiony wszelkiej ciasnoty pojęć małomiejskich, bardzo odważnie stanął do walki z tymi, którzy zwalczali P. P. S. Wykluczony z towarzystw, niwiele sobie z tego robił, szedł prosto w raz obranym kierunku, bz względu na to, czy mu to korzyść, czy szkodę przynosiło. Był człowiekiem bez słabości, nie palił, nie pił, nie tracił czasu na kobiety, nie chwalił się, nie kłamał, a cały czas, wszystkie swoje siły, poświęcił dla sprawy ludu pracującego. To też powoli zyskuje sobie szacunek nawet wśród wrogów politycznych. Własnej partji jest duszą i dobrym jej opiekunem, osładza dolę nędzarzy, udziela bezpłatnie porad prawnych, przeprowadza cały szereg spraw sądowych ubogich członków partji bezinteresownie, zabiega o pracę dla bezrobotnych, zapobiega wyzyskowi pokrzywdzonych, usiłuje wykorzenić pijaństwo wśród robotników, uświadamiając ich w tym względzie, a gdy to nie pomaga, wpada do szynków i wyrzuca stamtąd pijących. Przyczynia się do założenia domu robotniczego, gdzie stwarza robotnikom kulturalne rozrywki, krzewi i podtrzymuje ducha narodowego. Słowem, wszędzie, gdzie ucisk i krzywda, pojawia się Szpunar i nieustraszenie staje do walki, by je uchylić, a walczy wytrwale, rozumnie, legalnie, aż do osiągnięcia celu.

Taki to młodzieniec nie mógł patrzeć obojętnie na spętaną w kajdanach niewoli Polskę.

W szeregu rozmów, które prowadziliśmy od kilku lat, rozstrząsaliśmy powody upadku państwa naszego i szukaliśmy rad, jak wykorzenić z siebie wady narodowe i jak je zmniejszyć u znajomych. Dążenia nasze miały cele szczytne, porywaliśmy się do każdej pracy, każdego przedsięwzięcia, które zdawało nam się posunąć sprawę polską naprzód. W działaniach tych przodował Szpunar Bolesław,, ale nie znajdował konkretnych, istotnych celów, poza podnoszeniem polskości wśród otoczenia, zwłaszcza wśród robotników, staraniem się o polepszenie ich bytu.

Jednak już w lecie 1912 roku rozmowy nasze stały się inne. Tak Szpunar, jak i drugi mój kolega, Stankiewicz Marjan, poczęli opowiadać o ruchu zbrojnym, jaki przygotowuje się wśród społeczeństwa polskiego, by w stosownej chwili wybuchnąć. Opowiadali, że na czele ruchu stoi człowiek z Królestwa Polskiego, który od kilkudziesięciu lat ma jeden cel, jedno zadanie — walkę o wolność Polski.

Nie złamały człowieka tego ani prześladowania moskali, ani niechęć i bierność własnego społeczeństwa. Ta wytrwałość i siła przemówiła mi do przekonania, zdecydowałem się przystąpić do organizacji i złożyć przysięgę.

Czwartym wtajemniczonym był Pallan Zygmunt, słuchacz II roku wydziału prawa. W dniu 6 grudnia 1912 roku przyjechał z Krakowa obywatel Wicz (Stachiewicz) i w domu Pallana po dłuższem przemówieniu odebrał od nas czterech przysięgę i przyjął do Związku Walki Czynnej, polecając założyć Towarzystwo „Związek Strzelecki" w Wieliczce. Komendantem Związku został naznaczony Pallan Zygmunt. Urzędy Towarzystwa podzieliliśmy między siebie następująco: Szpunar — sekretarz, Stankiewicz — bibljotekarz, a mnie najmłodszego, bo zaledwie 18-letniego, zrobiono skarbnikiem. Z uwagi na tajność prac, mieliśmy się posługiwać pseudonimami, Szpunar obrał sobie — „Bolek".

W pracy organizacyjnej Związku wysunął się na pierwszy plan Bolek, bo dostarczał najwięcej członków, którzy nietylko brali udział w ćwiczeniach, wykładach i pracach Związku, ale też w chwili wybuchu wojny stanowili niemal 90 proc. oddziału wyruszającego w pole w pierwszem powołaniu. Szpunar był obecny na wszystkich ćwiczeniach, na wszystkich wykładach. Uczy i szkoli się bardzo pilnie i niebawem staje się prawą ręką komendanta Związku.

Gdy dotychczasowy komendant odchodzi, a w miejsce jego następuje przydział Bronisława Świątkowskiego, objaśnia go i informuje w stosunkach lokalnych, pomaga w wyszkoleniu. Słowem, Szpunar staje się duszą Związku Strzeleckiego, jako zastępca komendanta. Ze swojemi zdolnościami organizacyjnemi i agitacyjnemi rusza na wsie, zabierając ze sobą po paru strzelców, by organizować tam związki strzeleckie, a przytem zaprawiać do agitacji towarzyszących mu kolegów. I chociaż wysiłki jego nie dają wielkich rezultatów, z powodu braku uświadomienia wśród chłopów, ich apatji i bierności, braku karabinów i środków lokomocji, — to jednak nie idą na marne, bo czynią powoli szczerby w chłopskiej naturze, która dotychczas twierdziła, że „pany to polaki — a my to chłopi".

Organizowane związki strzeleckie po wsiach wegetowały, najlepszym z nich był Związek Strzelecki w Świątnikach, gdzie kilku inteligentów prowadziło pracę. Wieś polska, w ubogich podkarpackich powiatach, zadługo leżała odłogiem, by ją można było łatwo ruszyć, zwłaszcza, że zbliżała się do niej młodzież niemająca zbyt wielkiej powagi i nie budząca zaufania. Mówię tu o ogóle, nie biorąc pod uwagę jednostek, ani wyrostków, którzy chętnie bawiliby się karabinami, gdyby im na to matki i ojcowie pozwolili.

Szpunar jednak nie rezygnuje, ciągle ponawia ataki, podtrzymuje istniejące związki i zakłada nowe. Wszystko to jednak wymagało czasu i zaledwie do wojny uświadomienie narodowe wśród chłopów powiatu wielickiego przeświecało gdzie-

niegdzie, masy zajmowały stanowisko bierne, wyczekujące; chłop bowiem nie był skłonny do nowości, jedno go obchodziło: kochał swoją ziemię i trzymał się jej twardo, zawzięcie.

Szpunar Bolesław w lecie 1914 roku kończy szkołę podchorążych Z. S. i wraca do Wieliczki na stanowisko komendanta, które sprawuje do wojny.

Jemu też przypada zaszczyt mobilizacji Związku, przeprowadza ją w dniu 7 sierpnia 1914 roku. Zebrany oddział w sile 60 strzelców i 4 strzelczyń, ma zamiar cicho, bez rozgłosu, poprowadzić do Krakowa, nie szuka bowiem nigdy pochwały swych czynów, ale miasto żegnało nas serdecznie muzyką, mowami i kwiatami. Szpunar Bolesław odpowiedział krótko, po żołniersku, a mowę zakończył, zwracając się do zebranych sokołów, słowami: „Z wami, druhowie, nie żegnam się, bo wiem, że spotkamy się tam, gdzie miejsce każdego prawego Polaka — na polach pod Warszawą!"

W oddziale strzelców znajdowało się trzech braci Szpunarów: Bolesław — komendant, Mieczysław — kapral sekcyjny, z zawodu piekarz i Jan — słuchacz Politechniki lwowskiej, który jako szeregowiec, chociaż nie należał do Związku, przyłączył się do oddziału.

Czwarty Szpunar, podówczas jeszcze nieletni, poszedł śladem swych braci gdy podrósł, wstępując do Legjonów.

Poszli — towarzyszyła im stara piosenka: „Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały!"

Szpunar Bolesław został komendantem plutonu wielickiego, który jako pierwszy 1-szej kompanji wszedł w skład V Bataljonu I Brygady.

W czasie marszów i postojów Szpunar zabiegał koło swoich strzelców. On popędzał pozostających w tyle, wyrabiał tempo marszowe, kazał śpiewać, weselić się i jeżeli później V Bataljon zasłynął jako niezrównany piechur, to w tym bataljonie czołowe czwórki, złożone z Wieliczanów, nie miewały maruderów, oddziałek ten tak się zrósł w sobie, tak stwardniał w marszach, że stanowił jednolitą całość. To było nazewnątrz, a wewnątrz była to jedna rodzina, której ojcem był Szpunar, on pierwszy wstawał, ostatni kładł się spać, zawsze pieszo z plecakiem na grzbiecie dzielił trudy ze swoim oddziałem. A gdy przyszły dni głodne, gdy nie dostawało jedzenia, Szpunar dzielił, a jak dzielił opowiem. W pochodzie na Dęblin w październiku 1914 roku po czterdziestokilometrowym marszu, zrobionym w jednym dniu w pełnem obciążeniu, stanęliśmy w ubogiej wiosce na kwatery. Przypadło po półtora bochenka razowego chleba na pluton. Szpunar najpierw wymierzył chleb, a potem każdemu odkrajał równą kromkę. Brat jego na widok tej kromki prawie zapłakał, Szpunar bowiem w służbie nie znał braci, bo wszyscy dla niego byli braćmi i dzielił równo, a co zostawi dla siebie, wiedziałem — znałem go już tyle lat — najmniejszą.

Może to komuś wyda się drobiazgiem, ale ten ktoś nie znał pewnie głodu, gdy bestja w ludzkiem ciele skręca trzewia i wyje za pożywieniem, gdy stłuczone, zmasakrowane trudem marszu członki zdają się odpadać od kości, trzeba mieć wielkie opanowanie materji przez ducha, by jej nie ulec. Szpunar zawsze sypiał ze swoimi strzelcami, gdzie padło, lepsze posłania wybierał dla słabszych.

A w akcji bojowej? W pierwszych miesiącach Szpunar działa rozważnie, z namysłem, a jednak odważnie — siebie wysuwa na placówki, na ważniejsze wywiady, zabierając ze sobą najroztropniejszych, najsprytniejszych; powoli wymienia ich na mniej wyrobionych i tak pociąga wszystkich do upragnionego wyszkolenia. Potem wysyła samodzielnie zdolniejszych podoficerów.

Naturalnie, robi to wszystko w granicach możliwości wojennej, stale i wytrwale zmierzając do jaknajlepszego wykorzystania właściwości każdego. Przychodzi mu to łatwo, bo zna prawie wszystkich swych strzelców od kilku lat, umie ich użyć właściwie. Sam kształci się stale, każdą potyczkę, każdą bitwę analizuje, wyciąga wnioski i nic więc dziwnego, że chociaż w sierpniu 1914 r. wyszedł jako sierżant, już w październiku zostaje mianowany podporucznikiem, a w grudniu tegoż roku obejmuje kompanję. W boju Szpunar zjawia się tam, gdzie gorąco, gdzie sytuacja ciężka, zawsze zachowując skupienie umysłu, opanowanie nerwów. Jak dawniej, wśród stuku pociągu i gwaru podróżnych rozwiązywał trudne zadania matematyczne, tak w boju, wśród świstu kul, myśli trzeźwo, spokojnie, opanowując sytuację.

Pamiętam w Limanowej w początkach grudnia 1914 roku o 1-szej w południe goniec zaalarmował kompanję naszą, która pobierała chleb wypieczony przez wielickich piekarzy dla V Bataljonu, — że kawalerja rosyjska atakuje miasto, jak porwał bez namysłu kompanję i biegiem poprowadził, wysyłając równocześnie meldunek o sytuacji do dowódcy, który znajdował się na plebanji. Rozwinął akcję bojową śmiało i pewnie, chociaż pierwszy raz dowodził kompanją i dowódca bataljonu, względnie kompanji po przybyciu nie miał nic do poprawienia.

Kompanja 1-sza trzymała się na pozycji do wieczora, chociaż zaczynało jej brakować amunicji, nieprzyjaciel bił artylerją i karabinami maszynowemi, a kompanja nasza nie była niczem wspomagana.

Przy swej odwadze Szpunar starał się o możliwie najmniejsze straty, sam narażał się, byle ochronić swych strzelców. Pod Łowczówkiem zdolności jego i odwaga zajaśniały w całej pełni. Gdy w dn. 24 grudnia zostaje raniony dowódca 1-szej kompa-

nji Sawa-Sawicki, podpor. Szpunar obejmuje dowództwo kompanji.

Sytuacja była bardzo ciężka. Bataljon V. wysunięty w dniu 25 grudnia na prawe skrzydło, zostaje otoczony z trzech stron przez szturmujące oddziały strzelców sybirskich. Kompanje powoli wycofują się, pozostaje kompanja I-sza jako osłaniająca odwrót.

I ta wycofuje się plutonami, gęsto odstrzeliwując się atakującym. Ostatni ma zejść z placu boju pluton pierwszy, wielicki, ale już walka wre na najbliższej odległości, zaledwie kilkadziesiąt, a w niektórych miejscach kilkanaście kroków dzieli nas od sybirskich oddziałów, które w zbitych masach z rykiem „hurra" walą na nas, a my bez osłony, bez okopów, przemykając od drzewa do drzewa, prażymy bezustannie. Szpunar wycofuje się z plutonem, schodząc ostatni z placu boju: kula jednak trafia go w brzuch, pada wśród drzew, brat jego Mieczysław rzuca się i porywa go, by unieść, ale już zalały ich masy moskali — Szpunar Bolesław gine na placu boju, brat jego Mieczysław umiera niebawem w szpitalu rosyjskim.

Ostatnich chwil Szpunara Bolesława nie widziałem, gdyż sam raniony pięciokrotnie z przebitym bokiem bagnetem, padłem bez przytomności na kilka chwil przed jego śmiercią.

Pochowano go pod Łowczówkiem i dziś nad jego grobem sosny polskie cicho szumią piosenkę:

„Śpij Kolego w ciemnym grobie
Niech się Polska przyśni Tobie!"

Był to człowiek niezwykłego hartu ducha i ciała, niepospolitej odwagi, przy wielkich zaletach serca i głębokości umysłu. A wszystko to opromieniała gorąca miłość Ojczyzny. Padł, znacząc szlaki chwały I Brygady Legjonów, mając lat 22.

Jerzy Biały-Hojarczyk.

MAJ A.

Z Drugą Brygadą

Przy zajmowaniu Łopusznej dostaliśmy się całkiem niespodzianie w ogień pierwszej linji. Mianowicie przed nami mieli być Austrjacy w kontakcie z nieprzyjacielem. Bataljony nasze postępowały drogą w kolumnie. Droga była kręta, otoczona górami, obok przepływał potok pokryty lodem. Nad brzegiem kolej wąskotorowa, z powywracanymi wagonami i lokomotywą.

W chwili gdy zbliżyliśmy się do Łopusznej, z austrjaków nie było już śladu. Natomiast moskale zasypali nas szrapnelami i ogniem karabinów maszynowych. Moskale bili ekrazytowemi nabojami, stąd rany były szarpane. Płk. Zieliński momentalnie orjentując się w całej sytuacji, podał komendę: „W tył zwrot! Biegiem marsz do ukrycia! Maszynki naprzód!"

Poczem spacerował wśród kul po drodze, obok karabinu maszynowego, który obsługiwał major Januszajtis z dwoma żołnierzami.

W czasie wymiany ognia, podsunięto nasz bataljon do wspólnej akcji z kompanjami I-szego baonu, celem natarcia.

Pokonaliśmy moskali, zabierając kilkadziesiąt jeńców.

Po naszej stronie straty były nieduże.

Nocą zajęliśmy Borchomet i Łukawce. Następnego dnia oczyszczaliśmy okolicę. Zajęliśmy okopy placówek rosyjskich.

Na austrjaków nie mogliśmy liczyć, to też zmuszeni byliśmy ciągle ubezpieczać się. Wysłani na zmianę placówki, po długiem szukaniu odnaleźliśmy austrjaków śpiących w najlepsze w chałupach razem z oficerem; zaledwie jeden posterunek plątał się koło chałupy.

Zbudzony oficer oświadczył, że pozostaną dalej jako placówka, bo im tu dobrze. Nam zaś radził, byśmy poszli spać. Pozostawiliśmy ich w spokoju. Dowódca naszej kompanji wystawił placówkę oddzielną.

Po dołączeniu do bataljonu, przybyliśmy do Unter Stanestie. Ludność witała nas owacyjnie. W koszach wynoszono nam owoce i pieczywo. Komendanci nasi zabraniali żołnierzom przyjmować podawane rzeczy. Przyczem sierżant Cz. płazował szablą. Był on nielubiany przez żołnierzy z powodu podobnych zdarzeń, jak również i dlatego, że nigdy w większych bitwach udziału nie brał, bo zawsze wtedy był chory na silną gorączkę. Na takiem to tle wykwitła pieśń: „Tam za kopkami siana drżą..." i inne podobne.

W dalszym ciągu ofenzywy teren walk stawał się obszerniejszy, wchodziliśmy na równiny. Moskale, cofając się, niszczyli mosty na rzekach. Również w Waszkowcach moskale podpalili most, jednak cywile ogień ugasili. W związku z tem kompanja nasza otrzymała rozkaz wymarszu nocą do Waszkowiec, celem ochrony mostu. Dowództwo baonu na dowódcę wyprawy naznaczyło ppor. Czumę. Gdy na drodze staliśmy gotowi do odmarszu — ciemno już było zupełnie — przybył Czuma. Po głosie więc rozpoznawał tych podoficerów, którzy się jeszcze kompanji „trzymali", aby ich

według swojego planu użyć. Straż przednią oddał kapralowi Tatarowi. Szpicę dostałem ja. Przy blysku latarki elektrycznej przejrzeliśmy mapę.

Według naszych wiadomości, moskale w Waszkowcach byli napewno, zaś we wsi Czartorji którą mieliśmy przechodzić, prawdopodobnie też.

Ruszyliśmy przez pola na przełaj, a później lasem. Marsz był niespory. O północy zbliżyliśmy się do chałup i tu koniecznie trzeba nam było zasięgnąć języka. Ujadanie psów denerwowało nas. Połączyłem szpicę z przednią strażą, upatrzyliśmy z Tatarem najbliższą chałupę i skokiem otoczyliśmy ją wokoło. Poza sobą pozostawiliśmy tylko łącznik do kompanji. Wybór tej chałupy był nieodpowiedni, był tam szereg zabudowań gospodarskich, należących do jakiegoś folwarku. Łatwo mógł tam znajdować się większy oddział nieprzyjaciela. Wycofać się było już zapóźno. Wtargnęliśmy do budynku. Wystraszony mieszkaniec, żyd, sumitował się że tu moskali niema, że byli przedtem w dzień i zabrali cztery krowy.

Ruszamy dalej, ale teraz już drogą.

Około godziny czwartej przybyliśmy pod Waszkowce. I tu znów wstąpiliśmy do chałupy odosobnionej w pobliżu drogi. W chałupie świeciło się, a gosposia, stojąc w sieni, zapraszała nas do środka. Na zapytanie, dlaczego tak wcześnie świeci, odpowiada nam: „już i śniadanie gotowe". Zdziwiło nas to — a tembardziej zdziwiłem się ja, gdym za piecem dojrzał karabin manlichera.

— Czyj to karabin? — pytam.

— Ta, mojego syna — odpowiada starzec na pościeli, lat powyżej sześćdziesiątki.

— Gdzie jest ten syn?

— A śpi teraz, ot tam. On przy was służy — on legjon. Szli na Śniatyn i przyleciał... prosił i puścili go.

I opowiadał stary po rusku, z widoczną dumą i szczerością, iż dwóch synów ma w legjonach, a teraz trzeci, szesnastolatek, chce mu „wyrwać" z domu.

Gosposia tymczasem napełniła manierki nasze gotowanem mlekiem. Pożegnaliśmy się pośpiesznie, bo i tak zmarudziliśmy trochę czasu.

Legjoniści owi służyli w kompanji bukowińskiej, która teraz z bataljonem Zaleskiego postępowała po drugiej stronie Czeremoszu w kierunku Śniatyna.

Spełniając zadanie nasze, obsadziliśmy przyczołek mostowy. Po południu zluzował nas inny oddział.

Na noc zostaliśmy w Waszkowcach. Ludność rozrywała nas, zapraszając do siebie na kwatery. Kilku legjonistów zabrał do siebie pewien Polak, ubogi szewc, który aż ręce składał, mówiąc: „Dzięki Ci, Boże, że mogę widzieć i gościć u siebie polskich żołnierzy".

Mnie zaś z kilkoma innymi zabrał do siebie redaktor „Waschkautzer Zeitung", poczciwy żyd. Opowiadał nam o wybrykach moskali, jak oni demolowali mieszkania, strzelali do luster, na ulicach chwytali młode kobiety, a tytonicm kozacy ścielili pod konie. W fabryce wódek rozbili kufy, wódkę wypuścili na ulicę, pili do nieprzytomności.

Następnego dnia powróciliśmy do bataljonu i połączyliśmy się z nim u przeprawy na Prucie. Przeprawa odbywała się promem. Po czterdziestu ludzi siadało naraz, prom przeciągano linami.

Wieczorem weszliśmy do Śniatyna. Zakwaterowaliśmy w szkole.

Opowiadano tam o powieszeniu pewnej kobiety, która rozmyślnie miała wciągnąć w zasadzkę patrol 3 p. leg., którą to kozacy w mieście wystrzelali.

Nazajutrz maszerowaliśmy pod Zaleszczyki. W drodze zawrócono nas do Horodenki. Wcale nie spodziewaliśmy się takiego powitania, jakie nam sprawiono w Horodence.

Przed miastem wystawiono bramę triumfalną, przy której stali ojcowie miasta, z orkiestrą mieszaną — muzykanci, same żydki — wokoło tłumy, a na przedzie banderja chłopska i na wysokich drągach portrety cesarzy Franciszka i Wilhelma.

Za naszem zbliżeniem się rozległ się okrzyk: „Hoch Austrja! Niech żyją!" a skrzypce i trąbki jęknęły żałosne „Boże wspieraj"...

No! Trzeba było zobaczyć miny legunów.

Bataljon bez ceremonjałów kolumną rznie w miasto. Okrzykom niema końca, tu i ówdzie wynoszą w koszach bułki i ciastka, pchają do żołnierzy. Komenda „Baczność!" trzyma kompanje. Tu i ówdzie tłum orjentuje się, że są to legjoniści... zmieniają się okrzyki: „Wiwat polskie wojsko! Wiwat, niech się Polska wróci!"

Zostawiamy hałasujący tłum i miasto samo. Kolumna zatrzymała się dopiero pod szkołą rolniczą. Kompanje wysłano na placówki.

W okolicach tych są liczne pasieki. Ludność częstowała nas plastrami miodu. W nocy dostaliśmy fasunek chleba i kiełbasy. Na śniadanie kucharze przywieźli herbatę, ale nim ją zaczęli wydawać, mieliśmy alarm. Kucharz wywrócił kocioł do śniegu, próżny wrzucił do wozu i jazda.

Spiesznie maszerujemy do bataljonu, a potem znów całodzienny marsz.

W nocy przybyliśmy na stację kolei do Hwozdu.

(C. d. n.)

JERZY BIAŁY-HOJARCZYK.

Z pamiętnika Legjonisty

III. Przez Ulinę Małą do Krakowa

Pułk nasz powoli i cicho opuścił pozycje o zmierzchu i szedł w straży tylnej. W uszach szumiał nam ciągle zgiełk bitewny, chociaż cisza była dokoła. Całe plutony dźwigały rannych i po drodze dokazywano wprost cudów, by nikogo nie zostawić, aż dotarłszy do zamieszkałych wsi, brano wozy, by niemi przewieść ranionych do najbliższych miejsc opatrunkowych. Przez Suskowoię, Czarną pośpiesznym marszem 30 października doszliśmy do Bodzentyna. 31-go ruszyliśmy w góry Świętokrzyskie i wśród pięknych okolic zmierzaliśmy ku zachodowi. W nocy z 8 na 9 listopada pułk stanął pod wsią Krzywopłoty w lesie na biwaku. Noc była chłodna i mglista, zapaliliśmy ognie i cały las zajaśniał, zawrzało obozowe życie, toczyła się pogwarka żołnierska. Niektórzy wyciągali resztki zapasów i napełniali żołądki.

O świcie ruszyliśmy przeszło 1000 ludzi, I, III i V bataljon, bataljony IV i VI z chorymi pozostały na miejscu.

Komendant rozesłał kawalerję na wszystkie strony dla zbadania sytuacji, bataljon I i nasz, V, pchnął przodem do Poręby Dzieżnej, gdzie sam z bataljonem III wieczorem przybył. I znów nocny marsz 9 listopada. Polnemi drogami posuwała się kolumna strzelców, aż zatrzymała się o jedenastej wieczór w Wolbromiu i jak skoszony łan legła na kamiennym bruku rynku srodze utrudzona. Miasto było jak wymarłe, silniejsi pobiegli po chleb. Wieści od Beliny nie przyszły, lecz Komendant postanawia ruszyć, przesuwamy się z powrotem przez miasto, by zmylić mieszkańców i nieprzyjaciela, omijamy drogi i rozmokłemi polami, wąwozami dochodzimy przez Budzyń o świcie 10 listopada do Buku, gdzie komendant wybrał na odpoczynek Ulinę Małą, wieś ustronną, by dać spocząć poraz pierwszy od Krzywopłotów bataljonom. O 7-ej rano obsadziliśmy Ulinę Małą, gęsto rozstawiając wedety, inni gotowi do boju drzemią w chałupach lub gwarzą o ciężkiej sytuacji. Jesteśmy w centrum sił nieprzyjacielskich, wieczorem kozacy zwęszyli nas, padło kilkadziesiąt strzałów, nasz pluton wysunął się z chałupy i przywarł w linji tyraljerskiej. Zewsząd napływają meldunki, że jesteśmy otoczeni. Ruszamy bezzwłocznie, możliwie najciszej, by wysunąć się z łap nieprzyjacielskich. Nie brzęknie menażka, nie zapłonie papieros, nie słychać rozmów, idziemy drzemiąc, niektórzy zasypiając na dobre, nic dziwnego, tyle nocy bezsennych. Przechodzimy obok chałup, w których moskale kwaterują, z jednej strony widać ich we wsi obozujących, z drugiej dochodzi stłumiony gwar. Księżyc świeci dość jasno, szczęściem kolumna jarem przesuwa się, mija niebezpieczne miejsce i o świcie 11 listopada koło Słomnik wychodzi na szosę krakowską. Sześć mil zrobiliśmy tej nocy. Kawalerja jechała po bokach i w kilku utarczkach schwytała jeńców. W lesie tuż koło szosy odpoczęliśmy godzinę, niebezpieczeństwo główne minęło, odetchnęliśmy swobodniej. Następnie pomaszerowaliśmy na Kraków, po drodze zagarniając placówkę rosyjską, która z karczmy przy szosie koło Michałowic strzelała do straży przedniej. Około godziny 10-ej minęliśmy placówkę austrjacką i w dali ukazał się nam Kraków. Kompanje wpatrywały się w wieże, rysujące się na tle widnokręgu, powoli oczy poczynały lśnić i niejednemu łza szczęścia popłynęła na widok Krakowa, którego już nie bardzo spodziewaliśmy się oglądać. A gdy uczuliśmy bruk pod nogami i długie miarowe tempo echem odbijało się od ścian kamienic, sprężyły się znużone postacie i pieśń gromka, radosna, huknęła: „Hej idą strzelcy! Hej z popod Tater!"

NA PODHALU.

Utworzenie I-ej Brygady Legjonów poprzedziły boje na Podhalu, których cechą były wielkie ilości potyczek, ruchliwość i zmienność poszczególnych sytuacyj bojowych, bo teren górzysty wszędzie tworzył obronne pozycje, a te z powodu braku należytej obsady były łatwe do obejścia, zwłaszcza, że wielka ilość kawalerji rosyjskiej, znajdująca się tam podówczas, stanowiła element ruchliwy i łatwo przenośny.

To też walki miały charakter wzajemnego podchodzenia się i obfitowały w szereg niespodzianek. Były to właściwie potyczki na przedpolach wielkich armij, w których z jednej strony brało udział kilka brygad kawalerji rosyjskiej, z drugiej bataljony 1-go pułku strzelców im. Piłsudskiego, do czasu wciągnięcia wielkich sił z obu stron.

Bataljony I, III, V 1-go pułku strzelców, po śmiałem przekradzeniu się przez wojska rosyjskie pod Uliną Małą dnia 12 listopada 1914 roku, zatrzymały się w Krakowie na trzechdniowy odpoczynek.

Ponieważ z Krakowa do Wieliczki jest tylko 14 kilometrów, skorzystałem ze sposobności i razem z Bolkiem, Mietkiem Szpunarami, Marjanem Stankiewiczem i kilku Wieliczanami w pierwszym dniu przybycia do Krakowa wieczorem pojechali-

śmy wozem do Wieliczki, gdzie zastałem tylko ojca i siostrę. Całą noc spędziliśmy na opowiadaniu. Rano 13-go powróciliśmy pieszo do Krakowa, a 15 listopada alarmowo zostaliśmy przetransportowani pociągiem do Suchej, skąd pieszo 16-go późnym wieczorem przyszliśmy do Zawoji. Górale wzięli nas za moskali, wieś była jak wymarła, wszystkie chałupy pozamykane, okna pozasłaniane. To też kwatery trzeba było niemal przemocą zdobywać. Gdy się jednak wyjaśniła pomyłka i po wsi gruchnęła wiadomość, że legjoniści przyszli bronić gór od moskali, zaraz zaczęto nas przepraszać, gościć — kilkunastu nas zaproszono do karczmy i tam przy piosence:

„W murowanej izbicy, tańcowali zbójnicy
Kazali se piknie grać i na nóżki pozierać"

nuże zbójnickiego hasać, a nasi chłopcy nie pozostali dłużni i popisywali się mazurem.

Gdy w nocy wróciłem na kwaterę, którą razem z Bolkiem i Mietkiem Szpunarami zajmowałem, zastałem góralkę piorącą naszą bieliznę — nie mogła ścierpieć, by polskie wojaki miały brudną bieliznę.

Przyjmowano nas jak własne dzieci, zajmowaliśmy po kilku chałupy, które żywiły dostatnio.

Górale z dumą patrzeli na nas, jako na polskie wojsko. Spadły podówczas pierwsze śniegi i ostry mróz chwycił. Komendant bataljonu obyw. Sław-Zwierzyński zarządził ćwiczenia w ostrem strzelaniu i musztrę, mnie do ćwiczeń dostała się półkompanja. Zbiórki jednak na ćwiczenia były uciążliwe i wymagały dużo czasu, bo wieś była rozrzucona na wielkiej przestrzeni. Gdy opuszczaliśmy Zawoję rankiem 21 listopada, kierując się ku Dobrej, górale żegnali nas serdecznie i ze łzami w oczach. Tymczasem wieści o ogólnem położeniu na froncie nadchodziły coraz niepomyślniejsze. Przystąpiliśmy do sypania okopów koło Makowa, do pomocy dano nam setki ludności cywilnej. Niedługo ukazały się liczne podjazdy kawalerji rosyjskiej w okolicy i ruszyliśmy naprzeciw. Już w nocy z 23 na 24 listopada III bataljon zagarnął podjazd rosyjski w sile kilkudziesięciu koni w Chyżówkach. Nasz bataljon V i I w nocy z 24 na 25 listopada ruszył do następnej wsi, by zagarnąć kozaków. Szliśmy gęsiego parowem, okrążając wieś, niestety jednak natrafiliśmy tylko na placówkę kozacką, która pozostawiwszy konie i broń, korzystając z ciemnej nocy, w popłochu zbiegła.

Rozsypaliśmy się w tyraljery i do świtu czekaliśmy bezskutecznie na atak nieprzyjaciela. Tegoż samego dnia przyszliśmy do Jurkowa, gdzie wydano nam bieliznę zimową i trochę umundurowania. Żołd rzadko widywaliśmy, a podówczas był zwyczaj w pułku, że wszyscy brali jednakowo bez względu na stopień. W Jurkowie kwaterowałem razem z mym komendantem kompanji 1-ej V Baonu, obyw. Sawą-Sawickim Jerzym, którego tam odwiedził powieściopisarz Wacław Sieroszewski (ob. Sirko). Gdy wspomniałem Sieroszewskiemu, że utwory jego zdawałem przy maturze (był moim ulubionym pisarzem) i że nie spodziewałem się, iż mogę z nim kiedykolwiek mówić, ujął mą głowę w obie ręce, ucałował i rzekł: „Chłopcze kochany, może kiedyś będę miał przyjemność gościć was u siebie, a wtedy powetujemy sobie głodne czasy".

Obywatel Sieroszewski, o ile sobie przypominam, początkowo był starszym żołnierzem i sam widziałem, jak od młodziutkiego kaprala czy plutonowego w sierpniu 1914 r. w koszarach w Kielcach odbierał rozkazy w postawie na baczność. Później dostał się do kawalerji. Była to popularna postać wśród braci leguńskiej i często, gdy na koniu przesuwał się obok kolumny maszerującej, krzyczeliśmy do niego dla rozrywki: „Obywatelu! kiedyż zaprosicie nas na pierożki ze serem?" Zawsze umiał coś przyjemnego odpowiedzieć i im marsz był cięższy, tem weselsze i serdeczniejsze były jego odpowiedzi.

(C. d. n.).

T. RELSKI-CHEŁMECKI.

Z Krakowa na Sybir

(Ze wspomnień Legjonisty)

Wymaszerowaliśmy o 4-tej rano.

Odprowadzała nas z Krakowa jakaś stara warjatka, tańcząc przed nami z podniesioną suknią. Felek Maciejowski radzi, abyśmy się dobrze przypatrzyli jej, bo już krakowskich niewiast prędko nie zobaczymy. Znów jakiś tam odzywa się, że nie wiadomo, kto większy warjat: ona, która nieświadomie tańczy przed nami, czy też my, którzy świadomie, djabli wiedzą na jakie losy idziemy. Co tam dalej gadał, nie wiadomo, bośmy go odrazu wysłali do stu djabłów, gdyż mu nikt nie broni tak samo tańczyć, a nie maszerować z nami, jeżeli mu się tamto bardziej podoba.

Rozumieliśmy, że nas tak wczas wyprowadzono ze względu na późniejszy upał, lecz mimo to trochę nam przykro było, że nikt z Krakowa nas nie pożegnał; za chwilę jednak radość ogromna

wybuchła, gdyż dowiedzieliśmy się, że idziemy do Królestwa.

Co prawda, niezbyt zdawaliśmy sobie sprawy, kiedy się z moskalami spotkamy i jak to spotkanie będzie wyglądało, gdyż przeważna część naszego bataljonu dopiero przed kilku dniami pierwszy raz oglądała bliżej karabin, lecz to nam zupełnie nie psuło humoru; ładować nasze Werndle jużeśmy umieli, po 120 kul każdy z nas miał w kieszeniach. zapał był ogromny. Tem, że moskale mieli 5-cio strzałowe karabiny, a my jedno i że niemi Austrja przegrała kiedyś wojnę z Niemcami. nie przejmowaliśmy się wcale.

Część Królestwa była już zajętą, więc sądziliśmy, że na postojach braki nasze w wyćwiczeniu uzupełnimy, a radość i zapał, że jesteśmy w Legjonach i że już maszerujemy na wojnę z Moskalami, były tak ogromne, że na takie głupstwa, jak brak kuchni polowych i t. p., nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. To, że maszerowaliśmy w cywilnych ubraniach, że pasy u karabinów i pasy główne zastępowały nam sznurki, a rzeczy nasze mieliśmy przywiązane również sznurkami do ramion i pozawijane w koce lub brudne koszule, zależnie od tego, co kto miał i w co najwięcej rzeczy mogło się zmieścić, że nie mieliśmy nic do jedzenia, a większość ani grosza przy sobie — zdawało się nam całkiem naturalne.

Dla okazania jednak, że jesteśmy wojskiem i to wojskiem polskiem, maszerując przez wioski. staraliśmy się iść równo i śpiewaliśmy pierwsze piosenki legjonowe, których już wyuczyliśmy się w Krakowie.

Ambicja w nas grała, aby nie pozostawać w tyle i nie narzekać. Ale mimo tego, marsz, tumany kurzu i upał pomału zrobiły swoje; sznurki na ramionach i od karabinów coraz bardziej zaczęły nam dopiekać. tak, że z coraz większem utęsknieniem oczekiwaliśmy odpoczynków, a wreszcie noclegu.

Do Krzeszowic weszliśmy trzymając głowy do góry, lecz rozłazić po mieście wcale nam się nie chciało. Nocowaliśmy w sali Sokoła i spali wszyscy jak zabici. Skoro świt — pobudka. Marsz gorzej się zaczął, bo wielu miało zupełnie odparzone nogi z powodu trzewików zupełnie nie nadających się do marszu.

Przydzielili mię do oddziału jakby do tylnej straży, lecz mającej za zadanie tylko popędzanie maruderów; mimo to w Olkuszu znalazłem się dosyć prędko, gdyż po drodze co prawda już pod koniec marszu jakiś obywatel zasłabł. więc złapałem chłopa z furmanką i odstawiłem chorego do Olkusza.

Nocowaliśmy w jakiejś szkole. Rano na ćwiczenia nie poszedłem, bo od moich lakierek porobiły mi się bomble, więc doktor obandażował mi całą nogę. Wypocząłem sobie znakomicie. Gorzej jest z tem, że nam jeść nie dają, a o 5-ciej naturalnie bez obiadu alarm. Bandaż zdarłem, wdziałem lakierki, dostaliśmy coś po trzy bochenki chleba austrjackiego i stoimy gotowi. Złość nas już minęła, zaczynamy pokpiwać, a właściwie rozwesela nas Felek Maciejowski.

Tak nas pomieszali w Krakowie, że prawie zupełnie się nie znamy. Sokół, Strzelec, Drużyny Baroszowe i jeszcze coś tam, ale mimo tego jakoś się szybko zaczynamy zespalać. Co prawda, przez te dwa i pół dnia dali nam serdeczną szkołę, że odrazu jeden drugiego musieliśmy w marszu podpierać, to wody przynieść lub t. p. — ja trzymam się z prof. gimn. Tyncem z Krakowa i jednym archi-

Felka tylko zna już cała kompanja. Jest to typ Antka krakowskiego. Niski, chudy blondyn. Karabin taki sam duży jak on: chcieli go w Krakowie wyrzucić, lecz prosząc zrobił kawał doktorowi i ten go zostawił na naszą obecnie pociechę. Co ciekawe, że Felek, murarz, ordynarnych słów stosunkowo mało używa.

Gdy wszyscy klniemy, żeśmy nawet Olkusza porządnie nie zobaczyli, jeden Felek opowiada spokojnie, że on tam co miał zrobić, to zrobił, a chociaż mu przerwali, to znowu tak bardzo nie żałuje.

Zawagonowali nas, odwieźli do Wadowic i piechotą do Choczni. Idziemy jak możemy, dosyć duża część boso, ja w jednym lakierku, bo mi noga spuchła; jakoś wreszcie doszliśmy i wraz z drugim plutonem kwaterujemy w stodołach proboszcza, a reszta we wsi.

Na odpoczynek postawili nas przed pewnym domem za Wadowicami. Wszystkie „pensjonarki" wyszły, niedwuznacznie nas zapraszając, lecz nikt się jakoś nie kwapił, jeden tylko na oczach całego bataljonu wlazł tam. Donny również z nim zniknęły, bo na wymyślania naszych brakło im wreszcie konceptu. Tym gościem, jak się okazało, był jakiś feldwebel austrjacki. Jak on się do nas dostał, Bóg raczy wiedzieć.

Ćwiczymy. Deszcz, słota. wszystko jedno, aby prędzej. Nudzi nam się, bo wyglądamy jak kupa obdartusów, a o mundurach nic nie wiadomo. Chłopi ogromnie przychylnie do nas się odnoszą, ale mimo to bieda już nas źreć zaczyna; no i to, że po ćwiczeniach niema co robić. W naszej trójce trzymamy się razem. Do miasta nie chodzimy, bo niema po co, a po drugie to i wstyd w tych naszych cywilach po tyraljerce, ciągłem padaniu i t. p. Od czasu do czasu zachodzimy na pogawędkę do miejscowego ks. wikarego, znajomego któregoś z naszych kolegów. Nasz dowódca plutonu jakiś niemrawy, nic do nikogo nie przemówi, zdaje się, jakby patyk połknął: w gruncie dobry chłop, ale go nie lubimy.

Przyszedł bataljon z Kielc. D-ca naszego bataljonu, obywatel Kitay, wygląda morowo. Lubimy go. Dowódcy kompanji zmieniają się ciągle. Z Krakowa wyszedł z nami obywatel Chełmicki, obecnie zaś dowódcą jest ob. Stryj. Tego feldwebla zrobili dowódcą drugiego plutonu. Wściekli jesteśmy na niego, bo pomiata ludźmi; nami nic — lecz ten drugi pluton to naprawdę biedny. Po polsku tak kaleczy, że go czasem zrozumieć nie można.

Zaczynają się szemrania i sarkania. Niektórzy całkiem w zapale ostygli. Co prawda, to to spanie na klepisku, gdzie się nawet wyciągnąć dobrze nie można i ten brak wszystkiego, bielizny, menażek, zaczyna się dawać we znaki, a najbardziej to, że wyglądamy naprawdę obdarci, powalani; ja już też chyba niedługo będę chodził boso, bo lakierki moje do ćwiczeń zupełnie się nie chcą przystosować i już niedługo się rozlecą. Niektórzy, którym już pieniądze wyszły, zaczynają przebąkiwać, że nas niepotrzebnie tak maltretują, bo co innego jest front, a co innego tutaj i gdyby się tylko dało, powróciliby do Krakowa, że z Legjonów nie wystąpią, ale poco to cierpieć taką nędzę, kiedy ci, którzy ćwiczą w Krakowie, żyją w porównaniu z nami jak panowie. Profesor i architekt pytali mię się, czy wróciłbym do Krakowa, jakby wolno było; odpowiedziałem, że nie.

Ja sobie też nie wyobrażałem, że to się tak zacznie, lecz mimo to nie wrócę, bo kto mi zresztą zaręczy, że nas znowu z Krakowa nie wyślą i to samo znowu będzie, z tą tylko różnicą, że później wymaszerujemy na front. Z drugiej strony, zastanawiając się nad tem, gdy sobie przypomniałem śmierć matki, jej rozkaz, gdy przed śmiercią kazała mi gdzie ulokować siostrę, a samemu iść do Legjonów, błogosławieństwo chorego ojca, przesłane mi w liście, bom się z nim nawet nie pożegnał, ten zapał w Krakowie, ta radość szalona przyjętych do Legjonów, a rozpacz i płacz odrzuconych — postanowiłem, choć Kraków kusi — nic cofać się. Wszak to od 27 sierpnia, tj. dnia mojego wstąpienia zaledwo kilka dni upłynęło, a jużbym się miał wracać? coby mi na to matka, gdyby żyła, powiedziała, a ojciec? Ja myślałem, że ojciec będzie mię zatrzymywał i dlatego nie pojechałem się z nim pożegnać, a ojciec — życzy mi spełnienia mych marzeń, życzy mi wolnej Polski i pisze: „Dobrześ zrobił, żeś do mnie nie przyjechał, mnie nic nie pomożesz, a tam każdej chwili szkoda; cieszę się bardzo, żeś wstąpił, żeś odgadł moją myśl. Ja cię zachęcać nie chciałem, lecz przypomnij sobie, że mnie uczył wujek, który uciekł z więzienia w Orle przykuty do ściany za 63 rok. Niech Ci Bóg da powrócić zdrowo i zobaczyć Wolną Polskę, bo widać kochasz Ją, gdyś wstąpił do Legjonów, a że w tem życiu, zdaje się, już się nie zobaczymy, listem tym przesyłam Ci ostatnie moje błogosławieństwo".

Legjon wschodni podobno rozwiązali i wcielili do austrjackiego landszturmu, bo nie chciał przysięgać, a my, którzyśmy postanowili wytrwać, bo cóż znaczy dla nas przysięga pod przymusem, rozejdziemy się sami, bo nam zimno w stodołach?

Felek to jest taka miła małpa, że niech Bóg broni. Nasz pluton poszedł na wartę. Mnie wyznaczyli do lekarzy i na izbę chorych, poco nie wiem. Całe popołudnie nic nie robiłem, siedziałem tylko i czekałem na jakie polecenie lekarzy. Wieczorem puścili mię na kwaterę; gdym przyszedł, a położyłem się w sąsieku na sianie, bo dzisiaj miejsca dużo: Felek, Artur Jarzembiński, prawnik, Wałek, robotnik i Franek Zajączkowski, gimnazjalista, grali w karty na boisku. Świeca w menażce, a oni zacietrzewieni tłuką, że aż hej. Granie w karty u nas surowo wzbronione, no a za palenie światła w księżej stodole to już kara nam grozi, chyba gorsza od mąk piekielnych. Gdy już zasypiałem, słychać nagle brzęk szabli, światło zgasło momentalnie, ale natychmiast zapalił ktoś latarkę elektryczną. Podsunąłem się, aby zobaczyć kto wszedł i co to będzie.

Na klepisku wszyscy grający udają, że śpią, karty jednak i pieniądze leżą koło nich, oprócz Felka, który wszystko pochował i jeszcze miał czas właściwie na swojem miejscu się położyć. Do stodoły wszedł d-ca drugiego plutonu, ten znienawidzony feldwebel austrjacki.

Naprzód zbudził Artura.

— Obywatelu, jak się nazywacie?

— Jarzembiński.

Drugiego obudził Franka Zajączkowskiego, trzeciego — Wałka.

— Obywatelu, jak się nazywacie?

Ten nic. Nareszcie po solidniejszem kopnięciu, Wałek się obudził.

— Jak się nazywacie, obywatelu?

— Wałek, a co się stało?

— Jutro się dowiecie przy raporcie. Wszyscy z pierwszego plutonu?

— Tak.

Przychodzi do Felka i zaczyna go kopać nogą. Felek nic, jakąś dobrą chwilę trwało to kopanie, nareszcie pan feldwebel, widząc, że w ten sposób Felka się nie dobudzi, pochylił się nad nim i zaczyna go tarmosić. Felek sztywny jak drewno rusza się w tą i drugą stronę całem ciałem, ale o przebudzeniu ani mowy. Ci trzej rozbudzeni już się nie mogą wstrzymać od śmiechu z min Felka, które robi, gdy go feldwebel twarzą ku nim obróci.

Nareszcie po długiej chwili tego tarmoszenia, Felek skurczył prawą nogę w kolanie i z całej siły kopnął feldwebla, wrzeszcząc: „Kusz ty... synu!" Feldwebel się wywalił, lecz natychmiast się poder-

wał i Felek już rozbudzony w tej samej chwili się podniósł, udając, że dopiero teraz zobaczył, że to dowódca drugiego plutonu, stanął tak przeraźliwie przepisowo na baczność, że wszyscy, ilu nas było w stodole, ryknęliśmy śmiechem.

— Jak się nazywacie, obywatelu?

Felek udaje, że ze strachu mowę stracił i robi tak pocieszne miny, że my się zanosimy od śmiechu.

— Jak się nazywasz, ty cham, kanalja.

— Nie cham, tylko Fijołek.

— Jutro wszystkie do raportu.

Wyszedł, żegnany już nie śmiechem, ale wyciem. Długi czas jeszcze nie mogliśmy usnąć, gdyż chyba przez godzinę po tem zajściu co chwila wybuchaliśmy salwami śmiechu.

(C. d. n.)

Dr JAN ROGOWSKI.

W kadrze artylerji Legjonów polskich

Po ukończeniu szkoły podoficerskiej w Kamieńsku, zostałem przydzielony — na własną prośbę — do artylerji Legjonów Polskich. Wprawdzie komendant szkoły podoficerskiej, por. Modelski, chciał mię przydzielić do Szkoły Podchorążych, ale prosiłem o wysłanie mię wprost do artylerji, bo uważałem, że trzeba już znaleść się na stałe w pułku. Bardzo rychło jednak przekonałem się, że popełniłem błąd.

Kadra artylerji Legjonów Polskich mieściła się w lecie 1915 r. w małej wiosce, w Jeżowie koło Piotrkowa. Pomieszczenie swoje znajdowała we dworze w Jeżowie; również w tych zabudowaniach dworskich znajdowała się kadra kawalerji. Dowódcą kadry artylerji był ppor. Jan Maciej Bold.

Prowadziłem w tych czasach dokładny dziennik wszystkich wydarzeń; ponieważ notatki udało mi się w wielkiej mierze zachować, — więc najważniejsze szczegóły z życia kadry artylerji przytoczę.

Zresztą przyznać trzeba, że życie to było — zwłaszcza w początkach mego pobytu w kadrze — bardzo monotonne, a nawet przykre. Zorjentowawszy się w warunkach życia kadrowego, zgłosiłem się do raportu dywizjonowego i prosiłem o przydzielenie do Szkoły Podchorążych. Kpt. Jełowicki, komendant dywizjonu artylerji, przyrzekł mi prośbę moją spełnić. Przechodzę teraz do swego dziennika.

9 lipca 1915 r. Lada dzień spodziewam się przydzielenia do Szkoły Podchorążych. Z kadry wogóle odchodzi dużo ludzi: jutro ma czterdziestu odejść do piechoty. Za mojej bytności w kadrze kilku zwiało.

Od południa jestem komendantem warty. Co to kłopotów miałem, nim zebrałem wartowników! Bo tutaj ciekawie się wartowników wyznacza: żadnej ewidencji nie prowadzi się; wyznacza się więc koniowodnych, rzemieślników, a nawet takich, którzy właśnie stoją na warcie.

Służbę miałem dosyć ciężką. — oka nie zmrużyłem przez całą noc. Co dwie godziny budziłem rozprowadzającego, dra Janiszewskiego. Ciekawy typ z tego doktora! Matematyk! W twarzy ma wyraźne znamię tej gałęzi wiedzy, jakiej się poświęcił, a więc skupienie i chłodną rozwagę. Zaraz poznać w nim filozofa! W szeregu, czy nie w szeregu, na ćwiczeniach czy w spoczynku — książka w ręku: bądźto jakiś podręcznik matematyki, bądź powieść.

Mieliśmy w kadrze drugiego filozofa: profesora Rosenberga, ale odesłano go już do piechoty. Po południu był wykład Bolda o służbie wewnętrznej.

13 lipca. Rano były ćwiczenia piesze, t. zn. poszliśmy z chorążym Mazurkiewiczem na przechadzkę za magazyn. Tuż za tym magazynem — obok parku — na łące, biegnie rów strzelecki z poprzecznicami. Rów ten wykopali jeszcze Moskale, ale nie mieli już czasu z niego korzystać. Otóż w tych rowach fotografowaliśmy się. Niektórzy udawali zabitych, dwóch odnosiło rannych itd. Bawiliśmy się dobrze. W ogólności chor. Mazurkiewicz jest dla nas prawdziwym kolegą.

Po ćwiczeniach „roboty domowe", a mianowicie smarowanie osi u wozów amunicyjnych i prowiantowych. Po południu była lekcja kartografji. Podchor. Kszewski objaśniał znaki konwencjonalne. Wszystkie wykłady odbywają się bądź w oranżerji, bądź pod lipami. Pod lipami naturalnie przyjemniej.

17 lipca. Wykład Bolda o służbie wewnętrznej, a potem „roboty domowe", — zamiatanie podwórza i kwater.

19 lipca. Według rozporządzenia Komendy Grupy ci, którzy mają prawo służby jednorocznej, nosić będą biało-czerwone przepuski. Dziś więc komendant Bold sprawdzał dokumenty. Po południu były ćwiczenia piesze, — ba! — nawet taktyczne. Korzyść z nich była przynajmniej ta, żeśmy się trochę przeszli. Byliśmy pod wsią Wygodą.

20 lipca. Przed południem tłukliśmy się na ja-

szczykach. Jeździliśmy daleko — przejeżdżaliśmy kilka wsi, a raczej wiosek. Bo tutaj — jak zauważyłem — wsie są bardzo małe. Jeżów np. liczy domów 23. A widziałem wioski mniejsze. Kościołów w nich naturalnie niema. W czasie przejażdżki „wspaniale" zleciał z konia podchorąży Kosturkiewicz. Wywrócił się razem z koniem, wywinął koźla przez koński łeb: — nic mu się jednak nie stało.

Po południu — kartografja: rysowanie szkiców perspektywicznych. Ot! — szopa! Chorąży Frank nie był zbyt wymagający.

Nie wiem dlaczego — oficerów w kadrze nazywano „pawjanami". I zaraz dodawano wyjaśnienie, że pawjan jest to „małpa leniwa, głupia, a złośliwa". Był to powszechnie znany dowcip kadrowy.

22 lipca. Byłem u adjutanta, kapitana Jełowickiego — ogniomistrza Becka, by się dowiedzieć, co się dzieje z mojem podaniem w sprawie Szkoły Podchorążych. Otóż podania tego ogniomistrz nie znalazł w swoich papierach: jest więc albo wysłane do Piotrkowa, albo gdzieś zgubiło się.

Po południu był bardzo zajmujący wykład por. Kaspra Wojnara o armatach. Porucznik Wojnar budzi ogólną sympatję. Poważna twarz, ozdobiona czarną brodą. Głos spokojny, o równem brzmieniu. Jest to człowiek w sile wieku, pełen skupienia i rozwagi. Charakter — jak przypuszczam — łagodny i cichy.

Na dzisiejszym rozkazie wieczornym był chor. Sichulski, malarz.

23 lipca. Rano wybrano sześciu — między nimi i mię — do szkoły jazdy konnej — szkoły początkowej.

Polega ona na tem, że jeździ się bez strzemion na koniu, prowadzonym na lince. Nie mogę powiedzieć, żeby taka jazda w kółko była przyjemna. „Pierś naprzód! Pierś naprzód! Palce do konia! Pięty w dół!" — wołał plutonowy Zygmunt — a koń szedł kłusa. Albo: „ręce w bok!" lub „ręce do góry!" Ja trzymałem się nieźle. Jeden natomiast z „dzielnych jeźdźców", a mianowicie Maślanka, zleciał z konia dwa razy, aż ziemia dudniała. Ów Maślanka jest wierszokletą; układa rozmaite wiersze na kolegów, na „pawianów" itd. N. p.: „Pawianie! pawianie! żebyś lekkie miał skonanie!" Nie wymawia litery „r". „Ty chodzisz jak kua" — miało być „kura". „Idę do — osprzy" (do Rozpszy).

Od ogniomistrza Becka dowiedziałem się, że podanie moje dnia 8 lipca wysłano do Komendy Grupy. Będę zatem — według wszelkiego prawdopodobieństwa — przydzielony do Szkoły Podchorążych.

Po południu były dwa wykłady: plutonowego Zygmunta o rasach koni i chorążego Kruszki o chorobach końskich. Wieczorem — po rozkazie — „roboty domowe" — a mianowicie wywożenie gnoju z za magazynu. Zastępca inspekcyjnego Łazarewicz oświadcza poważnym tonem: „Jesteście odpowiedzialni za zrobienie tego!" Wogóle zauważyłem, że tutaj „odpowiedzialność" gra wielką rolę. Za pozamiatanie tego a tego odcinka podwórza — wy „jesteście odpowiedzialni!" „Na waszą odpowiedzialność!" A tę „odpowiedzialność" stara się jeden zwalić na drugiego. Do godz. 8-mej wieczorem spełnialiśmy z całem poświęceniem „roboty domowe".

Wreszcie poważna figura kadrowa, celowniczy Cejnar, Czech, zwolnił nas wielkodusznie.

(C. d. n.).

WYDAWNICTWO „PANTEONU POLSKIEGO" RÓWNIEŻ PRZYŁĄCZA SIĘ DO SZEREGÓW SKŁADAJĄCYCH DZIŚ ŻYCZENIA WODZOWI, KTÓRY STWORZYŁ WOJSKO POLSKIE I ZWYCIĘSKĄ WOJNĄ W 1920 R. DAŁ POLSCE WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ.

Notatki.

WSPOMNIENIA Z PIERWSZYCH LAT ZWIĄZKU WALKI CZYNNEJ.

Idea walki z zaborcami, a przedewszystkiem z Rosją, znalazła swój zewnętrzny wyraz w organizowaniu tajnych stowarzyszeń, przygotowujących swoich członków do walki z wrogami naszej wolności. Jedną z pierwszych organizacyj był Związek Walki Czynnej we Lwowie (powstał w 1908 r.).

Zorganizowany przez J. Piłsudskiego przy po-

KSIĘGARNIA ANTYKWARIAT DOM KSIĄŻKI DOM
513413 F

mocy szeregu działaczy, rekrutujących się przeważnie z grona studentów politechniki lwowskiej.

Lokal Związku znajdował się przy ulicy Nabielaka l. 8 w parterze, w kilku małych pokoikach, służących jako miejsce zebrań, kancelarja, magazyn, sale wykładowe itd. Tam też zbierali się członkowie, występujący tylko pod pseudonimami, tak, że dzisiaj po tylu latach (1908—1912) trudno sobie przypomnieć wszystkich wówczas należących do Związku. Wykłady odbywały się wieczorami, a ćwiczenia poza miastem, na Persenkówce, w Zubrzy, przeważnie w niedziele i święta bez względu na pogodę i niejednokrotnie zmokliśmy porządne. Wspólnych zebrań nie było. Wyjątkowo tylko w nadzwyczajnych wypadkach urządzano wspólne zebrania. Takim była uroczysta rocznica powstania listopadowego w 1910 r. w listopadzie w sali przy ul. Ossolińskich 10 (późniejszy „Ul"), kiedy to Józef Piłsudski wygłosił obszerny odczyt omawiający powstanie listopadowe ze stanowiska wojskowego. Wtedy można było zobaczyć, jak wielkie rzeszy młodych ludzi objętych zostało myślą kształcenia się w kierunku zdobycia wiadomości wojskowych dla późniejszej walki z wrogami.

Wielka część ówczesnych członków Związku Walki Czynnej zajmuje dzisiaj bardzo wysokie i odpowiedzialne stanowiska w nepodległem państwie.

Obywatel „Ostoją"
(Tadeusz Dręgiewicz, prof.).

W „Panteonie Polskim" umieściliśmy dotychczas kilkanaście artykułów, wspomnień i notatek, dotyczących Związku Strzeleckiego, Drużyn Strzeleckich i Bartoszowych, również innych Stowarzyszeń i Związków wojskowych przed 1914 r. Dla łatwiejszego zorjentowania się, podajemy poniżej spis tych artykułów i numer zeszytu „Panteonu Polskiego", w którym umieszczony był odnośny artykuł.

Drużyna Strzelecka (polska) 24-ta (S. Kwiatkowski) — Nr. 74 z 1930.

Drużyny Bartoszowe — Nr. 52 z 1929 i 63 z 1929 r.

Drużyny Bartoszowe (Weber Marjan) — Nr. 63 z 1929 r.

Formacje wojskowe polskie przed wojną i w czasie wojny — Nr. 29 z 1927 r.

Manewry doroczne lw. Zw. Strzel. 1914 — Nr. 64 z 1930 r.

Organizacja wojsk. „Nieprzejednanych" — Nr. 41 z 1928 r.

Organizacje wojskowe w Małopolsce przed wojną 1914 r. — Nr. 49 z 1928 r.

Organizowanie Zw. Strzel. po wsiach przed wojną (Wł. Dunin Wąsowicz) — Nr. 49 z 1928 r.

„Parasola" nadanie w [illegible] z 1929 r.

Polskie Pseudonimy woj[illegible] ska) — od Nr. 36 z 1927 do [illegible] i 74 z 1930 r.

(Z) Prasy niepodległ. pr[illegible] z 1929 r.

Ruch niepodległ. w zab[illegible] z 1929 r.

Szkoły bojowe krakowskie — Nr. 55 z 1929 r.

Szkoła Instruktorów Strzelca w Sróży w 1913 r. (Z. Zygmuntowicz) — Nr. 46/47 — 49 z 1928 r.; (G. Daniłowski) — Nr. 63 z 1929 r.

Ślązacy z Cieszyńskiego w Legjonach (Zych) Nr. 46/47 z 1928 r.

Wymarsz drużyny z Now. Sącza (Koszyk-Bartosz W.) — Nr. 58/59 z 1929 r.

Wymarsz Leg. z Dziedzic w 1914 r. — Nr. 46/47 z 1928 r.

Związek Nieprzejednanych — Nr. 53 z 1929 r.

Związek Strzelecki we Lwowie — 52 z 1929 r.

Związek Walki Czynnej (Łoś Jan) — Nr. 46/47 z 1928 r.

„SPRAWY NARODOWOŚCIOWE", czasopismo poświęcone badaniu spraw narodowościowych (R. IV. Nr. 5—6). Cena 8 zł.

Ukazał się nowy podwójny numer „Spraw Narodowościowych" za mies. wrzesień, październik, listopad i grudzień 1930 roku. Numer ten zasługuje na specjalną uwagę czytelników.

P. *Piotr Trejdeński* daje w artykule p. t. „Białoruskie stronnictwa polityczne w Polsce i ich ideologja" szczegółową charakterystykę białoruskich ugrupowań politycznych, mało naogół znanych społeczeństwu polskiemu. P. dr. *Alfons Krysiński* w pracy o „mniejszościach żydowskich i ich charakterze" wyodrębnia żydowskie mniejszości wyznaniowe, językowe i narodowe oraz przeprowadza analizę ich siły liczebnej i rozmieszczenia w świecie. P. *Leon Zieleniewski* przedstawił stosunki językowe w Szwajcarji oraz obowiązujące tam ustawodawstwo językowe.

Kronika, jak zwykle w „Sprawach Narodowościowych", bardzo bogata.

Na specjalną uwagę zasługują opracowania z zakresu spraw mniejszościowych na terenie międzynarodowym, mianowicie obszerne streszczenie z dyskusji mniejszościowej w VI-ej Komisji XI-go Zgromadzenia Ligi Narodów (19—24. IX. 1930) oraz sprawozdanie z VI-go Kongresu Mniejszości Narodowych w Genewie (1930 r.) jak również ze zjazdów mniejszości polskich w Rydze i mniejszości niemieckich w Stutgarcie.

Adres „Spraw Narodowościowych": Warszawa, ul. Nowy Świat 21 m. 4, tel. 248-74.

1-77 R 1924-1931 1.200

Z. Reis: „Gawędy Legjonowe" Lwów 1931 r. Nakładem „Filomaty" str. 104 (liczne ilustracje). Kapral I. Bdy, profesor Zygmunt Reis, znany tłumacz „Fausta" i wielu innych — napisał wierszem w formie Gawędy historję Legjonów od wymarszu w 1914 r. po Kaniów.

W pięknych słowach, nie opuszczając jednego ważnego wypadku, bitwy, potyczki lub bohaterskiego zgonu niejednego z Legjonistów — wierszem i rytmem — czytamy jakoby jakąś powieść — dał autor młodzieży polskiej rzecz dobrą, bezsprzecznie na czasie i dotychczas jedyną. Wydanie nakładem „Filomaty" pod red. prof. uniw. J. Kazimierza dr. R. Ganszyńca, któremu należy się uznanie za inicjatywę, poparcie autora, tyle wkładów i dobrór ilustracyj (chociaż niekoniecznie dobrze przez cynkografję wykonanych) — zupełnie zadowoli każdego czytelnika, a dla tych, którzy przebyli ten okres walk o Polskę — stanowić będzie piękną pamiątkę. Cena egz. zł. 2.85. do nabycia w drukarni Uniwersyteckiej, Lwów, Ormiańska 8.

Referat Grobownictwa Wojennego w Łucku w sezonie budowlanym od 1 kwietnia 1930 r. rozwinął intensywną działalność celem uporządkowania cmentarzy wojennych.

Odremontowano 8 cmentarzy legjonowych, a mianowicie: W Koszyszczach, Kołkach, Marcewiczach, Kościuchnówce, Wołczecku, Kowlu, Włodzimierzu, oraz cmentarz garnizonowy w Łucku. Na wymienionych cmentarzach na mogiłach poległych bohaterów ustawiono krzyże i obramowań żel.-betonowych 574.

Następnie odremontowano 25 cmentarzy armij obcych, tj. ogrodzono słupkami dębowemi i drutem kolczastym, wysypano mogiły i ustawiono nagrobki w postaci płyt betonowych w ilości 2548 m.

Ekshumowano z mogił rozrzuconych i przeniesiono na cmentarze stałe 2619 zwłok. Ponadto cmentarz legjonowy w Koszyszczach ogrodzono parkanem żel.-bet. i przy finansowem poparciu przez Dyr. Rob. Publ. Wołyńskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Bohaterów pobudowało na tym cmentarzu kaplicę murowaną.

OD REDAKCJI I ADMINISTRACJI.

Zwracamy się do P. T. Czytelników naszych z gorącem wezwaniem, by nadesłali nam wspomnienia swe z czasów walk o niepodległość, a także z czasów przygotowawczych, tj od 1905 r. do 1920 r. włącznie. Czytelników obznajomionych dokładnie z wypadkami w Złoczowie i w Tarnopolu (1918—1919 r), prosimy o relacje i o ewent. dokumenty, materjały itd.

* * *

Wielu nie uiściło jeszcze przedpłaty za 1931 r. Czas najwyższy kwotę tę wyrównać.

Tym, którzy nie wyrównali zaległości z 1930 r., wstrzymaliśmy dalszą wysyłkę.

* * *

Kto jeszcze nie zjednał jednego prenumeratora — niechaj to uczyni odwrotnie.

* * *

Na wydawnictwo „Panteonu Polskiego" złożyli w dalszym ciągu: Ks. dr. T. Chciuk 2 zł., Płk. J. Maleszewski, Gł. Kom. Pol. Państw. 10 zł., razem 12 zł. Wydawnictwo dziękuje za te naddatki i oczekuje dalszych.

* * *

Pojedyncze zeszyty „Panteonu Polskiego" z lat 1924—1930 są jeszcze do nabycia. Komplety wyczerpane.

* * *

Każdy nowy, roczny prenumerator otrzyma bezpłatnie premję p. t. *„Przez rewolucję 1905 r. do Legjonów 1914 r.".*

* * *

Zestawienie bibljogr. dotychczas w „Panteonie Polskim" umieszczonych artykułów i notatek, a także ilustracjj — nabyć można w administracji naszej w cenie po 2 zł.

* * *

Nadsyłajcie wspomnienia i notatki z czasów Zw. Strzel. i Drużyn przed 1914, Legjonów, P. O. W. i t. d. Umieścimy w Panteonie.

REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z. ZYGMUNTOWICZ. ADR. RED. I ADM. LWÓW, SKRYTKA 98 — TEL. 22.90.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF., „ARS", SYKSTUSKA 32. — DRUK „SZTUKA", PLAC STRZELECKI 2.